

Inicjacje, czyli transkulturowość w języku człowieka

Przełożyła Marta Cmiel-Bażant

Tematy jeszcze nie tak dawno uważane za marginalne stopniowo zaczynają znajdować się w centrum uwagi nie tylko akademickich, lecz także politycznych i gospodarczych kręgów oraz grup interesów. Kwestia wielojęzyczności wzbudza zainteresowanie choćby dlatego, że dla jednoczącej się (a zarazem spierającej się) Europy jest istotna. Ponadto ma w sobie (zdaniem niektórych – zapewne paradoksalnie) ładunek antyglobalizmu i swego rodzaju postregionalizmu („glokalizmu”?), co uwidacznia się na przykład poprzez zwracanie uwagi na cechy szczególne i „zasługi” lokalnych nurtów (wewnątrz każdej mowy czy też każdego języka).

Z języka w język

Kwestia dwu- lub wielojęzyczności z przedstawianego punktu widzenia nie byłaby związana prymarnie z „przekraczaniem granic narodowości w kierunku ponadnarodowości”, lecz z próbą powrotu do siebie i do własnego, najbardziej dogłębnego i najbardziej zinternalizowanego doświadczenia obcowania z językiem, a dokładniej – z językami, w których jesteśmy, będąc ludźmi, zakorzenieni. Język ma bowiem te same właściwości, co każdy samodzielny byt – swoje możliwości ujawnia jedynie, przeglądając się w innym, odmiennym (językowym) otoczeniu. Samookreślenie poprzez wyobrażenie własnej „istoty” czy „podbudowy” zwyczajnie nie wystarcza. Jeśli zadowolimy się nim, planeta, która nadaje, i planeta, która odbiera, przestanią jedna drugą bez świetlnego prześwietu, staną się właściwie identyczne. A to oznacza koniec każdego żyjącego systemu – również komunikacyjnego: jego powolne zamieranie bądź nieuchronną katastrofę.

Kontynuując: jeśli zgodzimy się, że komunikacja jest dla nas dystyngtywną domeną (już na poziomie organizmów biologicznych, a co dopiero rozwiniętych systemów społecznych!), możemy w takim razie pojmować wypełniony sensem kontakt z innymi jako nieuchronny warunek naszego przeżycia i osiągnięcia postępów w zróżnicowanym bogactwie skal i odcieni bycia, którego nie da się zryczałtować. Właśnie z powodu tego *memento* tak chętnie pożegnaliśmy się (niektórzy) z nowoczesnym człowiekiem, reprezentującym scholastyczne egoobeliski i łuki triumfalne, i przekierowaliśmy swoją uwagę na konkretnego oraz poliwalentnego człowieka. Dla jednych postmodernistycznego, dla drugich uduchowionego, dla innych znów transkulturowego bądź posthistorycznego... Moglibyśmy tak jeszcze wymieniać i wymieniać podobne, nieraz problematyczne określenia. W każdym razie mówimy o czasach tak zwanego posthumanizmu,

w których człowiek jest w stanie unieść dar człowieczeństwa bez konieczności stawiania siebie samego w centrum bycia czy też doświadczania i postrzegania świata wyłącznie na swoje podobieństwo – czy zgodnie z własną ideą.

Zaproszenie do tańca

Ten krótki wstęp był czymś w rodzaju ewokacji, napisanej w odpowiedzi na wystąpienie prowadzącej panel *Z języka w język* Eriki Johnson Debeljak, które możemy odczytać również jako „zaproszenie do tańca”. Pisarka zwróciła w nim uwagę na wiele znaków czasu, w którym żyjemy, i podzieliła się wnikliwymi obserwacjami na temat zjawisk związanych z naszą współczesnością i z wielojęzycznością bądź bezpośrednio, bądź pośrednio. Od fenomenu granicy i natężonej mobilności ludności, przez kryzys kategoryzacji pojęciowej („migrant”? „nomada”? „wygnaniec”?), aż do problemów z obsesyjno-posesyjnymi strategiami narodowymi, które trafiają w najbardziej czuły punkt pisarzy – na poziom ekspresji językowej, wspólnoty symbolicznej lub też nieutożsamionego utożsamienia z samym sobą.

Debeljak dotknęła sedna problemu, a my powinniśmy kontynuować wędrówkę wyznaczonym szlakiem, jeśli jesteśmy godni przypiętej nam, niemalże ostrzegawczej oznaki: jesteśmy bowiem przecież panelistami. Ponieważ moja przestrzeń jest rygorystycznie i dokładnie wymierzona, postaram się choćby w telegraficznym skrócie przedstawić kilka swoich myśli dotyczących zadanego tematu.

Chaos

Rozumiany w kontekście transformacji jest dla mnie pozytywną kategorią. Wyrażając oddalanie się, opuszczanie ustalonego porządku, dąży – między innymi – także do naruszania stałych, przyjętych oznaczeń i do wywoływania stanów, w których wchodzimy w kontakt ze stłumionymi stronami naszych indywidualnych lub kolektywnych świadomości – i ciał – ze swoim jungowskim cieniem. Nasza ciemna, tłumiona strona występuje wówczas zazwyczaj w postaci potwora lub przyporządkowanej o dreszcze nieznannej mocy, z którą trzeba (w labiryncie cywilizacji albo głęboko w ciemnym lesie) najpierw się zapoznać, a następnie bohatercko zmierzyć. Jeśli dla zorganizowanej wspólnoty ludzi swobodne poruszanie się po ziemi jest chaosem lub choćby oznaką nadciągającego chaosu, mogłoby to oznaczać, że ład, który wybraliśmy (czy też on nas?) ma negatywny wpływ na nasze naturalne przeżywanie świata. Związuje człowieka i dusi w zbyt sztywnym gorsecie; ład stał się dyrektywą, swobodę mylimy z poczuciem zagrożenia i przewycięzaniem go.

Tożsamość

W wystąpieniu wprowadzającym pojawiły się również kwestie związane z afiliacją zawodową, z naszym twórczym (po)wołaniem, na przykład podczas rozważań dotyczących zewnętrznego (czyli instytucjonalnego, społecznego) i wewnętrznego (czyli mentalnego, kreatywnego) aspektu twórczego „przebywania w języku”. Czy współzależność tych

dwóch aspektów jest wprost proporcjonalna, czy też nie? Czy kryzys instytucjonalnych narzędzi odbija się także w głębokich warstwach jego bądź jej literackiej tożsamości, w ich sposobie postrzegania samych siebie, lub czy może mieć wręcz pobudzający wpływ na tożsamość?

Uważam, że tak nakreślony „ruch wahadłowy” ze wskazanymi dwoma szczytami czy też krańcowymi wychyleniami to uproszczenie kwestii, którą tu rozważamy. Jeśli pisarz (tu oczywiście mam na myśli także pisarkę) – ale nie tylko ten, który się przeniósł – posiada własną tożsamość, jeśli ma nad nią władzę, coś jest nie w porządku. Lecz jeśli jest w ciągłym procesie utożsamiania się z samym sobą, jeśli sam postrzega siebie jako nieukończony proces, a nie (jedynie) wektor i cel, wówczas jego istnienie nie jest podporządkowane spolaryzowanym relacjom w rodzaju: wewnętrzne/zewnętrzne, instytucjonalne/indywidualne, społeczne/psychiczne tudzież duchowe i im podobnym. Jest wielowymiarowy, policentryczny (nawet zdecentralizowany), czyli w nieprzerwanym ruchu, przemieszczaniu się i przestawianiu.

Osiągnięcie stabilnej równowagi wewnętrznych i zewnętrznych motywacji jest zatem jedynie pobożnym życzeniem zarówno samego pisarza, jak i maszyny, która go otacza. Innymi słowy: stan harmonii nie jest niczym innym jak tylko założeniem (optymalnego) postępowania pisarza. Każde zakorzenienie autorskiego Ja jest tymczasowe i przejściowe (transwersyjne), dlatego też jego rozwój jest raczej arbitralny niż zgodny z zasadami. Pomóc może wszystko, a jednocześnie nic.

W tym sensie kryzys jednej tożsamości może być zapowiedzią powstania kolejnej – nawet jeszcze bardziej utożsamionej tożsamości (!) w wyniku jej odstawiania od wyobrażonego (solidnego) fundamentu świata. Taki powrót do zmultiplikowanych (również językowo „zmiksowanych”) przejściowych tożsamości jest właściwie jednym z przejawów dekolonizacji (nowoczesnego) Ja. Reasumując: nawet z kryzysem nie możemy być zupełnie na bieżąco. Jego oddziaływanie może nas kierować ku pewnemu rodzajowi inicjacji, scalać nas i krzepić. Może nas doprowadzić do błędów i pęknięć w nieprzepuszczalnym „gorsecie”, do wyładowania nowych, jeszcze nieznanych, chaotycznych energii, które chronią nas przed przesadnym poczuciem własnej wartości, a jednocześnie przed instytucjonalnymi pancierzami. Nawet przed kolczastym drutem, wyznaczającym granice, naznaczone strachem i wrogością.

Język narodowy versus literacki

Nie chodzi tu o jednakowe bądź równorzędne systemy językowe. Zbyt wąskie (skrycie też hierarchiczne) postrzeganie stosunku pomiędzy nimi bywa często zasadzone na stawianiu aspektu epistemologicznego i ideologicznego ponad estetycznym (czyli przynależności narodowej ponad twórczością językową i kompleksowością środków wyrazu). Choć to prawda, że pisarz tworzy zazwyczaj w tak zwanym języku narodowym, jest to tak naprawdę jego ojczysty język. Domowy, intymny, który jego – czy też ja – przeniknął jeszcze w czasie dzieciństwa, przez co w znacznej mierze wyznaczył ontologiczne wymiary jego/jej bicia w świecie.

Pisarz za pomocą języka nie tylko mimetycznie opisuje czy przedstawia świat, ale też tworzy go: stawia pod znakiem zapytania, rekoduje, estetycznie redefiniuje i przekształca według własnego, niepowtarzalnego kodu semiotycznego. Po omacku wykrywa jego atopowe punkty, przez nie może ześlizgnąć się do treści pozajęzykowych, teraźniejszych lub wiecznych prawd, do głębokich, symbolicznych przesłań. Ostatnią, oczywiście niedostępną, instancję jego starań stanowi tajemnica życia i śmierci – żywy rdzeń literatury, który czyni ją wieczną zagadką.

Również język pisarza jest zatem trójwymiarowy, rozciągnięty zarówno w czasie, jak i w przestrzeni, wielowarstwowy jak cebula czy kapusta, a jednocześnie zwinięty do wnętrza (idiolekt jednostki jako mentalny hologram indywidualnej egzystencji?). Pod zewnętrzną, znaną nam wszystkim skorupką słownika przepływają inne nurty pisarskiej, a właściwie językowej pamięci i niepamięci, pulsują staro-nowe amplitudy niesprowadzalnego przecież do wspólnego mianownika ludzkiego istnienia. Odstania się świetlna, magmatyczna, kosmiczna morfologia bycia, której językowa, gramatycznie usystematyzowana klatka żadną miarą nie wystarcza. Między byciem a językiem nie funkcjonuje relacja bezpośredniej (wzajemnej) wymiany znaczeń. Bycie wykracza poza język, język natomiast dokopuje się do jego głębokich bądź, wręcz przeciwnie, marginalnych, odśrodkowych poziomów, jedynie przy pomocy różnych zawirowań, procesów systemowego rozkładu, przestrzeni pomiędzy, pęknięć i szczelin, odrzuconych warstw żywego języka – szczególnie tego poetyckiego.

Wypowiedzi implikujące, że twórczość literacka jest w decydującym stopniu zależna od (narodowego) języka, z tego powodu przyjmuję z ogromnym dystansem. Rozumiem, że zmiana „zewnętrznego” języka może ugodzić w całość procesu kreacji w niepożądanym sposobie, może go utrudnić, a nawet uniemożliwić. Może go jednak także uwolnić, połączyć z podziemnymi nurtami, ukrytymi energiami bycia, do których autor/ka nie zdoła się dokopać przez uformowaną powierzchnię ekspresji językowej w języku, w którym się wychował/a (czy wręcz przeciwnie: przysposobiony język może pomóc konstruktywnie je hamować, połączyć, a nawet zdyscyplinować w sensie wyzwolenia, jeśli działały na człowieka destrukcyjnie, jako zbyt łatwo przyswajalne „medium języka”, a jego siatka znaczeń była podporządkowana nieczytelnej niepewności). Opowieść poety będzie się oczywiście różnić od opowieści prozaika; jednak wcale nie musi być wiadomo, który rodzaj literacki może mieć tu pierwszeństwo. Moim zdaniem wszystko zależy od typu bądź natury autorstwa, o wiele mniej od gatunku lub zamówienia, czy to wewnętrznego, czy zewnętrznego. Przecież nawet w swoim (źródłowym) języku nie wszyscy jesteśmy równie kreatywnymi „insajderami”.

Z mojego punktu widzenia rację mają zatem oboje, zarówno bardziej optymistycznie nastawiony Ralph Waldo Emerson, jak i ostrzegająca Simone Weil¹. Trzeba dodać,

¹ Cytatami wprowadzającymi w tytułowym artykule Eriki Johnson Debeljak, napisanym na panel w Vilenicy, *Z języka w język* (2014), były: „Use what language you will, you can never say anything but what you are” (Ralph Waldo Emerson) oraz „(...) for any man a change of religion is as dangerous a thing as a change of language is for a writer. It may turn out a success, but it can also have disastrous consequences” (Simone Weil).

że w żadnym razie nie chodzi tu o istotę jednostki, jej essence, która mogłaby być, w wyniku dokonania zmiany języka, nadwątlona, uszkodzona. Chodzi o *practise*, życiowe praktyki jednostki, które poprzez grę z różnymi (zawsze też językowymi) tożsamościami zlewają się – lub nie – we własny, unikalny autorski idiolekt. Język ojczysty traci co prawda swój bezpieczny status, co jednakże nie znaczy, że z pierwotnego duchowego kręgosłupa nie pozostanie kamień na kamieniu: to, co ważne dla ludzi we wszystkich językach świata wyraża się tak samo – i nie da się tego uprzedmiotowić terminologicznie. (Nie umniejszam przy tym piękna, które opiera się na odcieniach i różnorodności warstwy językowej).

Oczywiście, krytyczna ocena twórczości autora (o wiele bardziej „złożonej” i rozwarstwionej, jeśli przeszedł przez językową transformację), która powinna nadążać za każdą publikacją, jest znowuż zależna od niezliczonej ilości czynników, które wkraczają w zaistniałą sytuację. Z literaturą zazwyczaj nie mają nic wspólnego, lecz ich działanie potencjalnie ma w stosunku do autorów bardziej niszczycielski zasięg niż sama zmiana języka dzieł. Z dotychczasowego wywodu może wynikać, że „globalna sława i sukces” są jedynie złudnym pragnieniem (a z pewnością nie ścieżkami, *paths*, lecz wygodnymi autostradami, *highways*!) na drodze do przewycięzania, przekraczania granic narodowych. Zapowiadają wyścig pomiędzy dwiema równorzędnymi grupami ignorantów. Na przykład politycznych i kulturowych globalistów. Przeocząc sedno problemu (to znaczy sztuczne podtykanie granic jako podziałów, które miałyby nas – zamiast łączenia i zachowywania różnorodności – tylko dzielić), wspólnie przyczyniają się oni do utrwalania istniejących nieprawidłowości.

Moglibyśmy rzec: żaden język nie jest wyznacznikiem sam dla siebie. Każdy jest rytuałem życia, zwrotem w kierunku drugiego/odmiennego oblicza, „wykutym”, wyabstrahowanym z żywych aktów językowych, które zawsze są tylko osobiste. Kontynuując jeszcze tę myśl: także w języku narodowym funkcjonuje tyle wyrażań, ilu użytkowników, którzy się go trzymają. Każdy kolejny użytkownik-twórca wprowadza do języka wymiar, który stanowi dla podstawowego algorytmu zupełną bądź częściową nowość, swoiste bogactwo. Nie mówimy tu oczywiście o łamaniu, okaleczaniu języka przez tych, którym brakuje wiedzy, lecz o tworzeniu jego szczepów, tudzież o rozszczepianiu pnia (rozgałęzianiu drzewa życia) przez odświeżanie komunikacyjnych akcentów. Może też przez (Kosovelowską) asymetrię, która jednak odmierza to, co ludzkie, i to, co estetyczne, jest znacząca. Do przechodzenia „z języka w język”, a dokładniej, do odkrywania transjęzykowych uwarunkowań istnienia człowieka, nie powinno nas prowadzić wyostrzenie i wygładzanie językowych osobliwości bez opamiętania (jak dziś zubażane są eurohistorie, osnute na procesach unifikacji), lecz właśnie możliwość nagłego „wejścia” pod powierzchnię naszego językowego dziedzictwa. Zarówno te niezastużenie posiadane, jak i te przejęte z pewnym trudem, czyli zastużenie – w ich wzajemnej dynamice. Czy w takim językowym wzorcu nie odbijają się również niewidoczne połączenia, ukryte zależności naszych życiowych historii?

Post scriptum

Ponad jedno dziesięciolecie trwało, zanim jako autorka doczekałam się od słoweńskich branżowych instytucji (urzędową drogą od swoich kolegów) równorzędnego przyjęcia. Stan nieoficjalny – to, co działo się wcześniej – nie jest mi znany. Przede mną dziesięciolecie, w którym najprawdopodobniej będę musiała stawić czoła odchodzeniu „słowackiej części” mojego opusu w zapomnienie, jako że nie troszczę się już o „wybrane grupy” na Słowacji z takim zaangażowaniem². W autobiograficznej książce *Slovenka na kvadrat*³ (*Slovenka do kvadratu*), która była w Słowenii, co jest motywujące, bardzo dobrze przyjęta, zwróciłam uwagę na liczne wątpliwości i dylematy. Książka miała być pożegnaniem z moim doświadczeniem (chyba aż za bardzo wykształconej) migrantki – nie tylko w geograficznym, lecz także w kulturowym i językowym sensie, jednak to nie nastąpiło. Człowiek nie może strzepnąć swojej przeszłości; dalej będzie się do niego kleić, choć przemieniona, w jakimś nowym habitusie. Z pewnością natomiast człowiek nie powinien stawiać jej na piedestał, bez względu na to, czy była dobra, czy zła. Jeśli swoich żyć (tu lub tam, teraz lub wtedy) nie postrzega jako sprzecznych, ale dostrzega ich komplementarność, jest na dobrej drodze.

Jako autorka łatwo przetęczam się pomiędzy obydwojma językami, nie mam z tym żadnego problemu, jednak to prawda, że w słowaccyźnie czuję się bardziej komfortowo i bezpiecznie. Chociaż: poczucie bezpieczeństwa w tym wybuchowym świecie, spokojne życie w dyssypacyjnej, coraz bardziej rozpadającej się („poszatkwanej”) rzeczywistości nie może dla pisarza oznaczać osiągnięcia celu! Czuję i wierzę, że moje transjęzykowe narzędzia broni – łuk i cięciwa – wyrażają więcej niż tylko gołą pragmatykę pewnej przeprowadzki. Mimo różnych okoliczności (tu czy tam, teraz czy kiedyś), nigdy nie przestałam być poetką, pisarką, badaczką literatury i krytyczką. O tyle autentyczną, o ile sama jest dla siebie metaforą. Co więcej, dzięki nowym okolicznościom, stałam się tłumaczką literatury pięknej i wymagających tekstów filozoficznych, a także (na koniec chociaż trochę (auto)ironii nie zawadzi!) atrakcyjną asystentką i pomocną sekretarką...⁴ Tematyzując egzystencjalne horyzonty mojego »tu« i »teraz«. Jedynie tak – transkulturowo i w ludzkiej mowie – oddaję się w całości literaturze.

(Zaktualizowana wersja artykułu przygotowanego na dotyczący zagadnień wielojęzyczności, panel: *Z języka w język, który odbył się w sierpniu 2014 roku podczas Festiwalu Literackiego Vilenica w Słowenii*)

² Ta część mojego „proroctwa” z 2014 roku się nie spełniła. Oferta, żebym (przynajmniej na pewien czas) uratowała się przed „agonią sensu”, jak zatytułowałam również swój zbiór esejów (2015), nadeszła z nieoczekiwanej strony. Nie stamtąd, gdzie inwestowałam, lecz stamtąd, gdzie sama siebie, jako radykalnie obecną, umniejszałam [przyp. aut.].

³ Powieść autobiograficzna *Slovenka na kvadrat* ukazała się po słoweńsku w 2009 roku, drugie, rozszerzone wydanie w 2013, a słowacki przekład opublikowano w 2011 roku. W roku 2013 na jej podstawie powstał monodram o tym samym tytule, tudzież realistyczny kabaret, wystawiony w międzynarodowej, słoweńsko-słowackiej koprodukcji (reżyseria Nick Upper, aktorka i śpiewaczka Lucia Siposová).

⁴ Tu wskazuję na podporządkowane role kobiet, a zwłaszcza migrantek czy tych w inny sposób pozostawionych samym sobie, których jest im trudno uniknąć, na przykład – podejmując wysiłek przeżycia w nowym otoczeniu.